NIEDZIELA DLA DZIECI

Nr. 25. Częstochowa, dnia 12 grudnia 1937 r. Rok VII.



Scena bohaterskiej śmierci Sowińskiego na okopach Woli.

PANI Z HRUSZOWEJ.

Niewielką miałam ochotę do nauki i babcia, która mnie uczyła alfabetu, miała ze mną ciężkie przeprawy, nim zdołała mnie przekonać, że pierwsza litera w abecadle zowie się a, druga **b** i t. d., jak to już wiecie. A później, bogata już w wiedze składania liter, poszłam do szkoły. Elementarz w bardzo krótkim czasie poznałam tak gruntownie, że zbudzona w nocy na pamięć mogłam recytować[1]): m - a = ma, — m - a

[1]) recytować — wygłaszać, wypowiadać z pamięci.

= ma = mama. O - l - a = Ola — m - a = ma — l - a - l - k - ę = lalkę.

Po wygłoszeniu kiedyś tej wielkiej mądrości, że Ola ma lalkę, przyszło smutne zastanowienie, że właściwie to mnie bardzo mało obchodzi, czy Ola ma lalkę, czy jej też nie ma. Uśmiechnęłam się gorzko. Czyż warto było męczyć się i mozolić dla takich wyników. Chodziłam teraz do szkoły tak, jak z łaski. Dużo mnie tam nauczą. Ot, gęgać: — O - l - a, m - a - m - a — myślałam złośliwie. Mijając księgarskie wystawy obrzucałam je pogardliwymi spojrzeniami. Za szklanymi taflami szyb w różnych oprawach, w różnych formatach[2]) leżały książki, dużo, dużo książek. Wątpiłam mocno, czy jest w nich coś ciekawszego, niż wiadomości zawarte w elementarzu. Nie pociągały mnie książki. Aż kiedyś... kiedyś wpadła mi do rąk, tak całkiem przypadkowo, zniszczona, wytarta powieść Marii Rodziewiczówny „Lato leśnych ludzi". Przerzuciłam, tak od niechcenia, jedną kartkę, przerzuciłam drugą. Przesylabizowałam coś tu i tam i — odłożyłam książkę, ale nie na długo. Powróciłam do niej. Ślęczałam nad nią cały wieczór, ku zdumieniu rodziców, i ślęczałam już później całymi dniami i późno w noc, aż ją przeczytałam do końca.

„Lato leśnych ludzi" — hej! — po nocach mi się śniło cudowne, leśne życie bohaterów powieści Rodziewiczówny. Nawet kiedyś, a było to właśnie wtedy, kiedy stłukłam kałamarz i atramentem zaplamiłam piękną serwetę, trochę z obawy przed karą, a trochę pod wpływem tej powieści, wybrałam się w świat. Chciałam żyć gdzieś w puszczy, jak ci „leśni ludzie". Cóż, nie udała się wyprawa. Zresztą nie żałuję tego wcale, jak i nie żałuję, że się nauczyłam czytać, że pokochałam książki, kto wie, czy nie [illegible] Marii Rodziewiczównie, która tą miłość zaszczepiła we mnie przez swoją piękną powieść. Tak, na książkach Marii Rodziewiczówny uczyłam się czytać, uczyłam się myśleć. Nie ja jedna napewno. Każda poczta przynosi do Hruszowej, gdzie mieszka wielka pisarka, stosy listów, od dzieci gorące uściski, od młodzieży słowa oddania i od ludzi starszych uznania wyrazy.

A któż to jest ta Maria Rodziewiczówna? — pytacie mnie.

Chcecie wiedzieć? — Dobrze. Pojedziemy do niej. Nie pociągiem jednak, nie samolotem, nie balonem, ale... imaginacją[3]). To taka oryginalna komunikacja, która nic nie kosztuje, a jest częstokroć przyjemniejsza i milsza od każdej innej. To taka podróż wyobraźnią, która nam pozwala widzieć rzeczy przez innych oglądane i opisane później. Jest z tym zupełnie tak, drogie dzieci, jak gdybyście na pewne rzeczy przez cudze patrzyły oczy. Jedziemy więc na Polesie, do Hruszowej, do Rodziewiczówny. Podróż trwa bardzo krótko. Imaginacją szybko przebywa się największe przestrzenie. Polesie, kraj lasów i mokradeł, kraj smętku i przedziwnego uroku, o którym piosenka mówi, że:

Pośród łąk, lasów i wód toni
W ciągłej życia pogoni, żyje Polesia lud.
Brzeczą much roje nad bagnami,
Skrzypi jadący wóz czasami przez
grząską rzekę w bród.
Czasem ozwie się łosia ryk,
Albo w dzikiej puszczy głuszcza krzyk,
I znowu cisza niezmącona,
Dusza śni pustką rozmarzona
Cudny o Polesiu sen.
Hej! —
Polesia czar, to dzikie bagna, moczary.
Polesia czar—smutny to wichrów jęk...

Tak, takie jest Polesie. I tam to właśnie, 80 klm. od Brześcia, w po-

[2]) format — kształt, wielkość, rozmiar.

[3]) imaginacja — wyobraźnia.

wiecie kobryńskim, w majątku Hruszowa, mieszka Maria Rodziewiczówna.

c. d. n.

PRACA

Jest pewna siła, o dziecię moje,
Co ducha krzepi i nudy skraca,
Co skroń ozdabia w szlachetne zwoje
Wiesz, jak jej miano? — zowie się praca!
Widzisz ten kościół z krzyżem u szczytu,
Co Bogu serca zbłąkane wraca;
Któż wieże jego wzniósł do błękitu,
Jeśli nie długa mozolna praca?
Albo bielone ściany tej szkółki,
Gdzie dzieci marnie chwilek nie tracą,
Lecz słodycz nauk sączą jak pszczółki,
Czyż niestawiane trudem i pracą?
Patrz na tych ludzi, którzy wieczorem
Wracają brudni, strudzeni tacy,
I wyszarzanym świecą ubiorem,
Co im wśród krwawej wytarł się pracy.
Ale się nie śmiej z podartej szaty,
Którą się szczycą owi biedacy!
Kiedyś, mój drogi, dowiesz się z laty,
Jaka jest wartość sukni a pracy.
Lecz dłoń ich ujmij w swe ręce małe,
Niech twe uściski trud im opłacą,
I cześć miej dla tych, co życie całe
Walczą wytrwale — i silną pracą...
Bo nie złocone pałaców progi
W oczach ogółu ludzi bogacą...
I droższy nieraz domek ubogi,
Gdy okupiony mozolną pracą...

Władysław Bełza.

PROFESOR HISTORII.
(Z uczniowskich wspomnień).

— Hm! — hm! — hm!...

Lekcję historii rozpoczynał profesor niezmiennie całą serią pokasływań i chrząkań, po których dopiero padało pytanie:

— A o czemżeśmy to mówili na ostatniej lekcji, dzieci?

— O piłce nożnej, panie psorze, odpowiadał zgodny chór.

— Acha, — o piłce nożnej. — A ja tu mam zapisane w dzienniku: — czasy saskie.

— Tak, panie psorze, zaczęliśmy o Sasach, a skończyli na piłce nożnej.

— Acha!... No, to dobrze. — A do czegóż teraz wrócimy?

— Może do piłki nożnej, panie psorze — skwapliwie doradzali uprzejmi uczniowie. I tu podnosił się z ławki któryś z gorliwych zwolenników sportu z małym sprawozdaniem z tego lub owego meczu, chytrze obliczonym na wypełnienie godziny.

Zdarzało się, że stary nauczyciel, sam miłośnik sportu, dawał się wciągnąć w zaciekły dyskurs[1]). Dyskurs nie mający wprawdzie nic wspólnego z historią, ale za to bardzo ożywiony i bardzo fachowy. Ale bywało i tak, że wyniosły i niedostępny żadnemu ludzkiemu uczuciu (tak mu się przynajmniej wówczas zdawało) obwieszczał głosem potężnym i srogim:

— Otóż nie! Najprzód skończymy z historią. Brykalski, cóż mi powiesz o Sasach?

Mały, czarny Brykalski, z wyraźną niechęcią do takiego obrotu sprawy, podnosił się z ławki i jąkając się, bąkał jakieś usprawiedliwienie z nieprzygotowania lekcji.

Oczy profesora przybierały wówczas wyraz tak żałosny ,że winowajcy łzy skruchy wzbierały pod powiekami.

— I znów Brykalski nie umiesz I znów nie umiesz... Martwisz mnie, martwisz mnie bardzo, boś próżniak, boś niechętny, boś opieszały, boś leń, a z takich to tylko nicponie, tylko ladaco, tylko niebieskie ptaki wyrastają. Cóż z tego, że masz oczy, jak nieboszczyk Valentino[2]), że „pod krawatem" do szkoły

[1]) dyskurs — rozmowa, rozprawa.
[2]) Valentino — aktor filmowy, słynny z urody.

chodzisz i w spodniach „na kant". Cóż z tego? — O wartości człowieka nie stanowi suknia, ani nawet piękne jego maniery[3]), ale głębia, ale moc ,ale szlachectwo i prawość ducha. A do tego pracą i tylko pracą się d o c h o d z i. Człowiek, a człowiek, widzisz, Brykalski, to zupełnie nie wszystko jedno. Są ludzie z gliny i są ze stali. I dopiero pod uderzeniem widzisz, kto co wart. Gliniany człowiek w skorupy się rozleci, stalowy dźwiękiem zagra — i trwa i nie pęka nawet. A są i ludzie, wiesz... z piernika. Piękni, polukrowani, ale cóż.. z piernika, więc krusi, łamliwi, no, i lada mysz da im radę.

Miał ten szczególny dar mówienia, że choć chłopcy nie wszystko rozumieli, przecie słuchali uważnie i w skupieniu. Otwarte mózgi, jak gąbka wodę, łapczywie wchłaniały w siebie mądrość słów nauczyciela, by kiedyś, kiedyś wyciągnąć z nich korzyści.

— Więc się kształć, chłopcze. Urabiaj sobie charakter w młodości. Wcześnie wykuwaj dolę. Na historii się ucz. Widzisz, ot, takie Sasy...

I tu dopiero rozpoczynał profesor właściwy wykład barwnie ilustrując go gestami, z ciągłymi uwagami, że właśnie tak... o tak, jak tamci roboli ,robić nie trzeba, bo to doprowadziło do takiego oto smutnego końca, ale tak należy robić. o tak... Trzeba naśladować mocarzy ducha i przodowników narodu. Tak!

Jakież to były przemiłe i jak głęboko i życiowo kształcące te lekcje historii. Można się było i pośmiać, a jakże, ale broń Boże przekroczyć granicę, bo wówczas profesor ściągał brwi, ruszał wąsami i... dawał łapy, aż strzelało.

— Dusza mi płacze nad tobą, łobuzie ,dusza mi płacze — zwykł był mawiać przy takiej operacji.

By pośrednio przez ich skórę cierpiała dusza profesora, nie wierzyli chłopcy. I żadną miarą w cierpieniu tym nie mogli mu współczuć. Czasami nawet „boczyli się" na niego za karę zawsze uznawaną za „niesłuszną", ale gdy ich wiatr na szerokie drogi życia z cichej szkoły rozgonił, często, jakże często odwracali głowy tam, w tamtą stronę, gdzie kwitła ich wiosna i uśmiechali się tkliwie, serdecznie do wąsacza, co na historii pięknego życia ich uczył.

Zofia Troszanka

PRZYGODY TADEJUSZA KOPYĆKO.

Z kołyski na ziemię niedaleka droga, a że tam w tej podróży stłukł sobie Tadejusz kolana i łokcie — cóż robić, trudno. Nie próbował nawet płakać, bo choćby najgłośniej lamentował, wątpliwe czy kto usłyszy. Och, nie ma komu pożałować go, ani utulić, ani popieścić...

Siedzi Tadejusz na ziemi, bolące miejsca ręka pociera i medytuje — do okna dojść? — można ,ale co dalej? — W tej chwili dobiega z podwórza grube Burka szczekanie.

— Bujek, Bujek! — woła mały. — Zapomina o lęku przed myszą, zapomina o stłuczonych kolanach, zrywa się z ziemi i do okna toczy, a zadarwszy ku górze głowę, nawołuje przyjaciela. — Usłyszał go Burek! Zaskomlał radośnie. Niedomknięte okno łbem sobie szeroko otworzył i jednym susem był w izbie. Dopadł do Tadejusza, szorstkim językiem po twarzy go polizał i jął wydziwiać na gospodynię, że to dziecko bez opieki pozostawiła, jął jej przyganiać, że niedobra z niej matka, a użalać się nad Tadejuszem a troskać. Dzieciak za szyję go rączętami objął i szczęśliwy, że nie jest już sam, powtarzał w kółko:

— Bujek. ciucia. dobla, dobla!

d. c. n.

[3]) maniery — sposób zachowania się